

STEFAN KIENIEWICZ
(Warszawa)

STAN I POTRZEBY NAUK HISTORYCZNYCH W POLSCE*

Temat dzisiejszego zebrania obrało Prezydium naszego Komitetu w końcu czerwca bieżącego roku, tj. w momencie, gdy władze Akademii uznały za możliwe uruchomienie zebrań plenarnych komitetów naukowych. Wówczas też koledzy z Prezydium zlecili mi zagajenie dyskusji, do czego się przychyliłem, jakkolwiek bez entuzjazmu — zważywszy że i tak zbyt często występuję na tych posiedzeniach w roli referenta.

Mówić zamierzam o sprawach nauki historycznej oraz o sprawach naszego środowiska historyków. Nie zamierzam rozszerzać tego wątku na zagadnienia wielkiej polityki czy też gospodarki; pozostawiam też na uboczu sprawy wyższych uczelni, a nawet i nauczania historii na uniwersytetach.

Oczywiście wiem, że losu historyka nie sposób oderwać od losów kraju, w sensie politycznym i gospodarczym, tak samo od działalności historyka jako wychowawcy młodzieży. Nie zdziwię się, jeśli ta tematyka znajdzie wyraz w dyskusji.

W tytule referatu jest mowa o naukach historycznych, w liczbie mnogiej. Oczywiście jest ich wiele w naszym Komitecie, obok nauk historycznych sensu stricto jest reprezentowana także archeologia, a więc i o niej należy pamiętać. Rzecz jasna, że jeśli ktoś zechce mówić o losie innych nauk historycznych, to ma wszelką po temu możliwość.

Nie zamierzam narzucać żadnych tez gotowych, a tym mniej proponować gotowych rozwiązań. Przychodzę się tutaj radzić, starać się zorientować w stanie opinii naszego środowiska. Pochlebiam sobie, że Komitet nasz, w obecnym składzie, tę opinię reprezentuje, więc głosu tej opinii bardzo pragnąłbym się dosłuchać.

Jako punkt wyjścia rozważań przyjmuję założenie, być może nadmierne optymistyczne, to mianowicie, że jutro polskiej nauki historycznej zależy także od nas samych. Mówię także, ponieważ zależy ono od wielu takich czynników, na które wpływu nie mamy. Ale gdybyśmy uważali, że tylko czynniki postronne zadecydują o tym, co się będzie działo z polską nauką historyczną, to nie mielibyśmy po co tutaj się naradzać.

To jutro polskiej nauki historycznej jest zakorzenione w chwili dzisiejszej, wczorajszej i nawet przedwczorajszej. Dlatego chcę pokrótce cofnąć się wstecz (taki jest zresztą nałóg historyka) i przypomnieć sytuację naszą przedwczoraj, wczoraj i dzisiaj, zanim przejdziemy do tego, co będzie jutro.

Odnosnie do dnia przedwczorajszego, inaczej mówiąc stanu sprzed sierpnia 1980 r.: przypomnę nasze plenarne zebranie w styczniu 1980 r.,

* Zagajenie dyskusji na plenarnym zebraniu Komitetu Nauk Historycznych PAN, 28 X 1982. Zretuszowana przez autora wersja stenogramu.

na którym charakteryzowałem ówczesną sytuację nauki historycznej. Moja ocena ówczesna — tekst został wydrukowany — była raczej optymistyczna. Twierdziłem, że sytuacja naszej nauki jest dobra, że osiągnięcia jej w ostatnich latach są znaczne, ruch wydawniczy jest duży, że kontakty zagraniczne są liczne i owocne, zaś nasza nauka historyczna ma za granicą dobrą markę.

Dostrzegliśmy co prawda — i temu też dawałem wyraz — mniej pomyślnie problemy dotyczące przyszłości, niepokój o reprodukcję naszych kadr. Wszakże punktem centralnym mojego referatu była główna bolączka naszej historiografii, sytuacja historii najnowszej. Niemożność pełnego wypowiedzania się, zwłaszcza w druku, na temat historii najnowszej Polski rzutowała, moim zdaniem, na to, co się określa jako *credibility*, czyli wiarygodność naszej nauki historycznej w całości. Stąd się też brały nasze ówczesne i nieco wcześniejsze protesty przeciwko krępowaniu druku naszych prac dotyczących się historii XX wieku, nasze — słowem — utarczki z cenzurą.

Taka była sytuacja sprzed sierpnia 1980 r. Po sierpniu zaobserwowaliśmy zjawisko szczególne: włączenie się bardzo licznych historyków do ówczesnego tak bardzo bujnego życia politycznego. Nie potrzebują cytować przykładów ani nazwisk, wiedzą państwo dobrze o udziale licznych naszych kolegów na różnych szczeblach ruchu związkowego, szczególnie „Solidarności”.

Przypomnę także fakt obierania dość licznych historyków na stanowiska wpływowe, na rektorów czy prorektorów wielu uczelni w Polsce, na obiór Aleksandra Gieysztora na Prezesa Polskiej Akademii Nauk. Zdawało się to wskazywać, że oczy społeczeństwa, to może za wiele powiedziane, zawsze jednak oczy przedstawicieli kół intelektualnych zwracały się ku historykom polskim, jak gdyby czegoś od nich oczekiwały.

Dość znaczny, zdaje mi się, był też udział historyków w ruchu związkowym wewnątrz wyższych uczelni i wewnątrz Polskiej Akademii Nauk. W tej chwili nie będę oceniał, jak dalece to ich zaangażowanie było trafne, słuszne, czy szczęśliwe, zwracam uwagę na samo zjawisko.

Wiązaliśmy z wielką zmianą, która wtedy nastąpiła, szczególne nadzieje odnoszące się do historii najnowszej. Wyobrażaliśmy sobie, że teraz będzie znacznie łatwiej badać wszystko to, co nas interesuje na tym odcinku, że będziemy obecnie mogli mówić, pisać i nauczać swobodnie, także o wieku XX. Zasygnalizuję dyskusję, jaka się odbyła w gronie kilku specjalistów w redakcji „Przeglądu Historycznego” i z jej inicjatywy 10 I 1981, dyskusję nad sytuacją i możliwościami historii najnowszej. Sprawozdanie z owej dyskusji ukazało się w druku dopiero we wrześniu tego roku.

Ruch wydawniczy 1981 r. był jeszcze dosyć znaczny. Drukowały się pozycje dawniej już oddane do wydawnictw. Kryzys ekonomiczny jeszcze tak bardzo nie dotknął ruchu wydawniczego, cenzura okazywała się znacznie względniejsza także na odcinku historii najnowszej, słowem od strony publikacji naszych nie dostrzegliśmy wtedy trudności czy niepokojów.

Był to, pamiętacie Państwo, czas intensywnego mnożenia się i obiegu różnych wydawnictw, które nie przechodziły przez cenzurę. Były również wśród nich wydawnictwa historyczne. W tygodnikach, zarówno cenzurowanych, jak i niecenzurowanych, nie brakło w owym czasie publicystyki historycznej, bardziej lub mniej udatnej. Raz jeszcze świadczy-

ło to, że szeroka publiczność bardzo wtedy żyła problemami historycznymi.

Potem przyszedł 13 grudnia, słowem etap, który bym określił jako stan dzisiejszy. Przeżyliśmy, jak wszyscy obywatele, swoisty szok. Sporo naszych kolegów było aresztowanych, nasze czasopisma zostały zawieszane, uczelnie czas jakiś nie były czynne, podobnie stowarzyszenia. Zawisł nad nami wielki znak zapytania: jak to będzie w nowych warunkach ze swobodą pracy naukowej, dydaktyki i publikowania naszych osiągnięć historycznych.

Te skrepowania, jak Państwo wiedzą, były uchylane stopniowo. Najpierw uruchomione zostały uczelnie, a więc i studia historyczne, potem czasopisma naukowe, w tym i nasze historyczne, a w sierpniu 1982 r. wznowiło działalność Polskie Towarzystwo Historyczne, które za kilka tygodni odbędzie pierwsze po przerwie walne zgromadzenie.

Represje były więc uchylane, jednakże nie całkowicie. Nie wszyscy nasi koledzy odzyskali wolność. Wielkie nadzieje związane, wczoraj jeszcze, z samorządnością czy to uczelni, czy to placówek PAN wydały się rozwiane. Również nowe programy nauczania historii, uchwalane niedawno temu z wielkim entuzjazmem w poszczególnych instytutach historycznych, chociaż formalnie nadal obowiązują, ale nie wszędzie i nie bardzo są realizowane. W grę wchodzi zwłaszcza stosunek liczby godzin pomiędzy przedmiotami podstawowymi, a tzw. blokiem przedmiotów ideologicznych.

Jedną z głównych naszych trosk stał się ponownie problem historii najnowszej i naszych możliwości pracy w tym właśnie zakresie. Co więcej, teraz dopiero, w roku bieżącym, ogólny kryzys gospodarczy wybuchły znacznie wcześniej zaczął w sposób odczuwalny wpływać na wychodzenie naszych czasopism, na wydawanie książek, na dopływ czasopism fachowych z zagranicy.

Reforma gospodarcza zapoczątkowana w tym roku objęła również wydawnictwa naukowe. Wydaje się, że reforma ta stwarza nieoczekiwane szanse niektórym pozycjom historycznym. Słyszałem, że tytuły dotyczące II wojny światowej otrzymały obecnie z inicjatywy wydawnictw większe nakłady, niż to było przewidywane pierwotnie.

Natomiast znaczna wyższość cen książek nie mogła nie odbić się na rynku nabywców. Stąd pytanie, czy duże nawet nakłady książek naukowych będą się mogły rozchodzić tak, jak byśmy tego pragnęli.

Znak zapytania budzi przyszłość związków zawodowych na gruncie uczelni wszystkich stopni, w tym i szkół wyższych, zatem również wśród nauczycieli historii i historyków zatrudnionych w placówkach Polskiej Akademii Nauk. W toku jest tzw. przegląd kadr naukowych, potocznie zwany weryfikacją, który przeszedł w ciągu lata na wyższych uczelniach z różnym zdej się wynikiem. Na Uniwersytecie Warszawskim przebiegł bez strat dla środowiska, o ile się orientuję, obecnie zaś jest w toku w Instytucie Historii PAN i także w Instytucie Historii Kultury Materialnej.

Jedną jeszcze okoliczność należy wzmiankować pod rubryką „dziś”: spadek stopy życiowej, który dotknął również pracowników naukowych, naszych kolegów. Powiedziałbym, że dotknął ich w stopniu wyższym niż wiele innych osób ze sfery inteligencji. W szczególności dotyczy to pracowników PAN. Tyle o „dziś”.

A teraz staje przed nami sprawa dnia jutrzejszego. Jakie tu budować prognozy? Dzień jutrzejszy zależeć będzie od ogólnego trendu, ja-

kiego nie sposób przewidzieć. Co czeka nas wszystkich, naszą gospodarkę, stosunki polityczne, w tym sytuację kultury i nauki? Stagnacja czy ewolucja? Jeżeli zaś ewolucja, to jak szybka i w jakim kierunku? Komitet „Polska 2000” opracował ubiegłego lata coś w rodzaju zestawu scenariuszy, według których może się rozwijać sytuacja kraju, zwłaszcza gospodarcza i w powiązaniu z tym polityczna, w ciągu końca 1982 i całego 1983 r. Przedstawiono tam kilka alternatywnych wariantów, lecz autorzy scenariuszy nie umieli powiedzieć, który z tych wariantów wydaje się im najbardziej pożądany, ani najbardziej prawdopodobny. Od tego czasu ta sama komórka opracowała następne z kolei wersje prognozytyczne; są to uczone i wyważone rozważania osób, które bezpośredniego wpływu na przyszłość kraju nie mają. A więc i my historycy nie umiemy dzisiaj przewidzieć czy będziemy szli ku stopniowej liberalizacji stosunków, czy ku dalszemu ograniczaniu swobód pracy naukowej.

Nie bardzo wiemy co nas czeka, a jednak powinniśmy zastanawiać się nad tym, jakie powinno być zachowanie się środowiska historycznego, — takie, które by w najskuteczniejszy sposób mogło bronić interesów nauki historycznej.

Jest chyba znanym zjawiskiem, że środowiska intelektualistów są raczej skłonne do bazowania na porozumieniu, niż na konfrontacji. Nasze środowisko nie stanowi pod tym względem wyjątku. Zdaje mi się, że większość z nas chętnie widziałaby otwarcie się możliwości dialogu pomiędzy władzą a społeczeństwem. Jednakże na to, aby taki dialog się zawiązał, znacznego wpływu nie mamy.

Cóż zatem? Wydaje się, że istnieje parę — ale nie więcej — rzeczy oczywistych, które do nas należą i które powinniśmy pełnić, niezależnie od wszelkich przeszkód. Pierwszą z nich jest, w dwóch słowach mówiąc, „robić swoje”, a więc zachowywać się w miarę możliwości tak, jak do tego czujemy się obowiązani. W zakresie prowadzenia badań naukowych, w zakresie nauczania historii, w zakresie twórczości pisarskiej.

To jest chyba dość jasne i zdaje mi się, że tej wytycznej znaczna większość z nas pozostaje wierna. Jeżeli gdziekolwiek były pod adresem środowiska intelektualistów czy konkretniej uczonych, czy może jeszcze konkretniej — historyków, wysuwane zarzuty czy podejrzenia o zamykanie się w tzw. emigracji wewnętrznej, to wydaje mi się, że zarzuty te były niesłuszne i że tego typu postawy w naszym środowisku nie spotykamy.

Druga sprawa, która powinna być dla wszystkich nas oczywista, to jest, że powinniśmy pozostawać wierni temu, co by się nazywało etyką zawodu historyka. Na temat owej etyki też kiedyś perorowałem w Polskim Towarzystwie Historycznym, więc nie muszę się nad nią rozwodzić. Twierdzą tylko, że powinniśmy o niej pamiętać.

Te dwie wytyczne — po pierwsze robić swoje, a po drugie — trzymać się pewnych zasad etycznych — niestety jeszcze wszystkiego nie załatwiają, wszystkich pytań nie rozstrzygają. Znaki zapytania i możliwości rozmaitych odpowiedzi wiążą się z kwestią, co nam dziś jako historykom uchodzi, co nam być może nie uchodzi.

Wątpliwości te stawać znów mogą przed kolegami zajmującymi się historią najnowszą, ponieważ to jest i będzie przez czas trudny do przewidzenia najtrudniejszy i najkłopotliwszy odcinek naszej pracy naukowej. Zwróć uwagę, że ta historia dziś zwana najnowszą, z upływem lat i z upływem wydarzeń rozszerza swój teren, jej zakres nieustannie rośnie, a razem z rozrostem zakresu rosną i kłopoty.

Historia PRL już w tej chwili obejmuje lat trzydzieści kilka; trudno się nią nie zajmować, a wiemy jak trudno się nią zajmować. Nie tylko historią polityczną, ale także historią gospodarczą, której retrospektywna ocena okazuje się dziś — jak to się delikatnie mówi — kontrowersyjna. To samo jest z ważną dziedziną historii klasy robotniczej, dziedziną popieraną przez partię i rząd, ale jakże ją dzisiaj pisać, kiedy poglądy na klasę robotniczą są dziś tak bardzo rozbieżne w różnych środowiskach.

Jedna ze spraw, które powinny nam leżeć najbardziej na sercu, to utrzymanie spistości naszego koleżeńkiego środowiska. Jednym ze zjawisk najmniej pożądanym byłoby, ażeby w tym naszym środowisku, które do tej pory zachowywało jednolitą postawę, miało dojść do polaryzacji lub co gorsza do ostrego rozbitcia.

Jak dążyć, jak osiągnąć, jak utrzymać niezbędną nam spistość środowiska? Powiedziałbym, że winna ona bazować na tolerancji kontrowersyjnych poglądów. Jeżelibyśmy zakładali, że tylko nasze zdanie, zdanie jakiejś jednej grupy jest słuszne, a wszystkie inne zdania są niesłuszne, to oczywiście polaryzacji takiej trudno byłoby uniknąć *à la longue*.

Jednakże dwa pytania wchodzą tutaj w grę: jedno — jak daleko może czy też powinna sięgać owa tolerancja? Drugie: czy nie będzie ona funkcjonowała wyłącznie w jednym kierunku? Czy zobowiązując się do tolerowania poglądów niezgodnych z moim przekonaniem, uzyskam tolerancję dla poglądów własnych?

W zakresie owej postulowanej tolerancji znajdują się z konieczności aktualne pytania życiowe: do jakiej organizacji, grupy czy też kierunku historykowi uchodzi należeć, do jakiej nie uchodzi? W jakich organach uchodzi drukować, w jakich nie uchodzi? Czy w tym zakresie „co uchodzi, co nie uchodzi?” ma obowiązywać jednakowe kryterium dla wszystkich historyków, czy też może mieć na to wpływ ranga, stanowisko, sytuacja danej osoby? Czy kogoś postawionego „na świeczniku” obowiązuje coś więcej niż innych? Czy wobec młodych osób mało komu jeszcze znanych można stosować taryfę ulgową?

Te i podobne sprawy jakże bardzo życiowe dyskutujemy tymczasem w małych gronach, ale nie zdobywamy się na jednolite zdania. Jest jeszcze inna sprawa nader bolesna, los naszych kolegów, nie tylko tych, którzy są nadal pozbawieni wolności, ale i tych, którzy z takich czy innych powodów znaleźli się w trudnej sytuacji w swoim miejscu pracy, którzy mają kłopoty z drukiem własnych publikacji czy też z wyjazdem służbowym za granicę. Czy i w jaki sposób mamy się zespołowo włączyć do tych drażliwych sytuacji, chcąc bronić naszych kolegów przed oczywistą krzywdą?

Jedno wydaje mi się pewne i ważne: nikt z nas nigdy nie zdejmie obowiązku uprawiania krytyki naukowej. Paranie się sprawami publicznymi zależy od indywidualnego wyboru każdego z nas. Ale wypowiadać się rzeczowo, obiektywnie o tym, co się publikuje czy co się głosi w zakresie historii, to pozostaje nadal naszym obowiązkiem.

Jest też i pozostanie naszym obowiązkiem popularyzacja. Nie każdy z nas ją uprawiał, nie każdy z równym powodzeniem czy talentem, ale to jest obowiązek każdego z nas, przekazywanie swej wiedzy nie tylko kolegom po fachu, ale i szerszemu społeczeństwu, na różnych oczywiście szczeblach uprzystępnienia. Otóż dziedzina popularyzacji jest dzisiaj najeżona trudnościami, ponieważ wszystko, co się wiąże ze środkami maso-

wego przekazu jest w wysokim stopniu upolitycznione i z tego powodu udział w tych środkach budzi wśród wielu osób zastrzeżenia.

I znów krzyżują się wśród nas sprzeczne zdania: czy to, że historyków w telewizji np. widzi się w roku bieżącym mniej niż dawniej, czy jest to zjawisko godne uznania czy wręcz przeciwnie, zjawisko niekorzystne? Sprawa następną: mówiłem w obronie prześladowanych. Winniśmy jednak bronić swobody wypowiedzi nie tylko na wyższych uczelniach. Z uczelniami jesteśmy bezpośrednio związani, ale historia nauczana jest i w szkole średniej i w podstawowej. Szkolni nauczyciele historii to są także nasi koledzy, znajdują się zaś obecnie często w sytuacji bardzo trudnej.

Zmierzając do konkluzji moich wywodów sędzę, że niezależnie od nacisku ze strony władzy na naukę i na kulturę powinniśmy starać się bronić w takim zakresie, w jakim to jest możliwe, autonomii nauki właśnie w interesie kultury. Oczywiście powinniśmy sobie zdawać sprawę, że my wszyscy, historycy w Polsce Ludowej jesteśmy uzależnieni od władzy. W płaszczyźnie prawnej, w płaszczyźnie policyjnej i last not least w płaszczyźnie finansowej. Wszystko co się dzieje w nauce historycznej, łącznie z dzisiejszym naszym posiedzeniem, jest przecież finansowane przez państwo.

Cóż my tej różnorodnej zależności możemy przeciwstawić? Możemy przeciwstawiać naszą przydatność i nasz autorytet. W jakimś sensie jesteśmy potrzebni nauce polskiej, kulturze polskiej, a tym samym kierownictwu Polski Ludowej, jakkolwiek wiemy także, że inaczej przeróżne „czynniki” chcą kształtować tę przydatność, niż my byśmy ją chcieli pojmować.

Co zaś się tyczy autorytetu: nie jest to składnik sytuacji, który byłby wymierny w centymetrach, gramach i sekundach, ale i imponderabilia liczą się w naszych dziejach, o czym wie dobrze historyk. Zarówno nasza przydatność, jak i nasz autorytet jako historyków pozostają w tej chwili pod znakiem zapytania. Lecz i jedno, i drugie jest, jak mi się zdaje, możliwe do obrony.